

Prace Historyczno-Archiwalne t. XXXVII, Rzeszów 2025
ISSN: 1231-3335

Wacław Wierzbieniec

ORCID 0000-0001-8830-9982

DOI: 10.30657/pha.37.2025.10

[Uniwersytet Rzeszowski]

e-mail: wwierzbieniec@ur.edu.pl

Sławomir Wnęk

ORCID 0000-0002-9401-4168

DOI: 10.30657/pha.37.2025.10

[Strzyżowskie Forum Gospodarcze w Strzyżowie nad Wisłokiem]

e-mail: slawoy1963@interia.pl

**Wspomnienia Stanisława Ludwika Bylickiego,
właściciela majątku w Żyznowie z okresu II wojny światowej.**

Wojna z Niemcami, część II

Streszczenie

Artykuł stanowi drugą część wspomnień Stanisława Ludwika Bylickiego (1883–1961), inżyniera rodem Krakowa, który w latach 1917–1944 był właścicielem dóbr w Żyznowie, k. Strzyżowa nad Wisłokiem. Autor relacjonuje wydarzenia, które miały miejsce 10-12 października 1939 r. na granicy niemiecko-sowieckiej, utworzonej po 17 września 1939 r. na Sanie w Przemyślu. Opisuje okoliczności, w których udało mu się sprowadzić do Żyznowa (niemiecka strefa okupacyjna) czwórkę dorosłych dzieci, które wybuch wojny zastał we Lwowie, w sowieckiej strefie okupacyjnej. Wspomnienia Bylickiego to nie tylko ciekawy dokument historyczny pierwszych miesięcy wojny. Należy również podkreślić walory literackie tych wspomnień.

Słowa kluczowe:

wspomnienia, II wojna światowa, ziemiaństwo, okupacja niemiecka, okupacja sowiecka, Żyżnów, Przemyśl, Lwów, Stanisław Ludwik Bylicki

Wstęp

Publikacja prezentuje wojenne wspomnienia Stanisława Ludwika Bylickiego (1883–1861), inżyniera rodem Krakowa, który w latach 1917–1944 był właścicielem dóbr w Żyznowie k. Strzyżowa nad Wisłokiem i kilku okolicznych folwarków. Przytaczany fragment wspomnień Bylickiego jest kontynuacją wydarzeń z września 1939 r., opisanych jako *Wojna z Niemcami, część I*. W drugiej części zostały przedstawione wydarzenia, które rozgrywały się od 10 do 12 października 1939 r. i których był organizatorem i kluczowym uczestnikiem.

Z poprzedniej części wiadomo, że pod koniec sierpnia 1939 r. czworo dorosłych dzieci Bylickiego – Andrzej, Wojciech, Katarzyna i Magdalena, wyjechało do Lwowa, zgłaszając gotowość do obrony kraju przed spodziewanym wybuchem wojny. Jak wiadomo, po 17 września Niemcy i ZSRR utworzyły linię demarkacyjną dzielącą obszar przedwojennej Polski na dwie strefy okupacyjne. Ostatecznie granica została ustalona wzdłuż Bugu, Narwi i Sanu, a następnie Wisły, aż do jej ujścia. Na skutek tych zmian terytorialnych młodzi Byliccy utracili możliwości powrotu ze Lwowa zajętego przez Sowieców do Żyznowa znajdującego się w niemieckiej strefie okupacyjnej. W tej sytuacji ojciec zdecydował, że samochodem pojedzie do Lwowa i stamtąd sprowadzi ich do żyznowskiego pałacu. Wyjazd planował od pewnego czasu. Ostateczną decyzję podjął w czwartek 10 października, w godzinach rannych. Opisem przygotowań rozpoczyna się ten fragment wspomnień. Droga wiodła przez most graniczny na Sanie w okolicy Radymna, dalej przez Krakowiec do Lwowa i z powrotem.

Szczególną uwagę należy poświęcić kilku akcentowanym odniesieniom tematycznym. Stanisław Ludwik Bylicki przez wiele lat mieszkał w Berlinie. Tam też pracował jako inżynier. Bardzo dobra znajomość języka niemieckiego i tamtejszych obyczajów, wysoka pozycja społeczna oraz pewność finansowa były widoczne w rozmowie z oficerami niemieckimi już w pierwszej części wspomnień, a potwierdzone zostały w prezentowanej drugiej ich części.

W tekście wyraźnie zaznaczony został niezwykle aktualny podczas II wojny światowej motyw żydowski. Bylicki, który współpracował z drobnymi przedsiębiorcami żydowskimi, najczęściej z powiatu strzyżowskiego, cenił ich za pracowitość. Znał się ze strzyżowskim rabinem. Ciekawie brzmi dialog Bylickiego ze smutnym Żydem mieszkającym nad Sanem, którego grunty podzieliła rzeka graniczna, przez co utracił część swojego majątku, jak również relacja tego Żyda o niezrozumiałej dla niego skali niechęci okazywanej mu przez Ukraińców. Język Bylickiego, będący mieszaniną polskiego, ukraińskiego i rosyjskiego nacechowany jest specyficznym kolorytem tamtych czasów. Zięciem owego Żyda, któremu Bylicki okazał wsparcie, był służący w Armii Czerwonej właśnie na punkcie granicznym nieznanym tu z imienia Goldfarb. Ostatnie odniesienie dotyczy rozmów Bylickiego z sowieckimi pogranicznikami. Czytelnik znajdzie w nich echo ważnej książki Stanisława Vincenza, odnoszącej się do tego samego tematu¹.

Tekst Bylickiego zasługuje na szczególną uwagę, nie jest to bowiem tylko ciekawe źródło historyczne, które dotąd pozostawało w archiwum rodzinnym. Poznajemy Bylickiego jako pisarza, którego atutem jest bystra obserwacja i refleksja osoby wszechstronnie wykształconej.

¹ S. Vincenz, *Dialogi z Sowietami*, Kraków 1991.

We wstępie do pierwszej części przedstawiono sylwetkę autora wspomnień oraz jego rodzinę i bliskich². Nadmieniono również, że Stanisław Ludwik Bylicki ukończył wspomnienia w 1959 r. w Zabrzu, mając 76 lat. Podobnie jak poprzednio, publikowany fragment tekstu został nam przekazany w wersji elektronicznej przez Maxymiliana Bylickiego, wnuka i spadkobiercę inżyniera Bylickiego, aktywnie propagującego pamięć o dziejach żyznowskiego pałacu i jego mieszkańcach. Maxymilian Bylicki dokonał także wyboru obszernych fragmentów zapisków dziadka i zaproponował ich opublikowanie.

W tekście przypisami opatrzone tylko nazwiska występujące po raz pierwszy w drugiej części wspomnień – odniesienia do pozostałych nazwisk zamieszczono w części pierwszej, opublikowanej na łamach w poprzedniego tomu „Prac Historyczno-Archiwalnych”³. Alfabetem łacińskim lub w tłumaczeniu zapisano fragmenty rozmów z czerwonoarmistami, ponieważ Bylicki nie znał rosyjskiego i dokonywał zapisu fonetycznego. Podobnie jak w części pierwszej, zgodnie z zasadami dotyczącymi edytowania tekstów źródłowych zachowano brzmienie oryginału, natomiast poprawiono interpunkcję oraz uwspółcześiono pisownię.

Stanisław Ludwik Bylicki ***Wojna z Niemcami, część II***

Przeszła ta środa jak tamte dni i znów rano dzisiaj to samo, znów ubieranie się w przyspieszonym tempie, znów śniadanie, lecz dzisiejszy czwartek jest przełomowym i ta sama Wiktusia, co wczoraj pytała się, co zrobić z rzeczami, które miała zapakować na samochód, dzisiaj wchodzi z miną dokonanego czynu i melduje, że rzeczy są już zapakowane na samochód, który stoi przed domem. Śniadanie skończone. Różyczka pakuje prowianty do walizki na drogę, za chwilę wszystko gotowe do drogi. Teraz tylko wsiadać do samochodu i jechać. Poszliśmy do sypialnego pokoju, pocałowaliśmy się na drogę. Różyczka krzyżyk zrobiła mi na czole. Schodzimy na dół, samochód ma postawioną budę, bo drobny deszcz jak pył pada, a przy sterze Bolek⁴, syn Władysława, świeżo upieczony, może bez zakalca, szofer. Pokaże się w drodze.

– A co, Boluś kochany, ty pojedziesz, nie ojciec? – pytam Bolka.

– Tak, ja mam jechać, bo ojciec ma wielki ból głowy i jechać nie może.

– No więc jedźmy!

Ubrany jestem w paltocie i w butach z cholewami, bo dzień zimny, ponury jak zmartwienie, ale we mnie pogoda, młodość. Ruszamy, do widzenia, do widzenia. Zda się, że z Bolka niezły szofer będzie, bo ruszył doskonale. Jedziemy bardzo dobrze. Wóz łyka góry, czwórka bez przekładania. W Przemyśle jesteśmy godzina jedenasta. Przyjeżdżamy na jakąś ulicę boczną. Z jednej strony domy, z drugiej długi, wysoki płot z desek. Tutaj najlepiej wjechać do którejś bramy, postawić wóz w sieni i pójść

² Zob. *Wspomnienia Stanisława Ludwika Bylickiego właściciela majątku w Żyznowie z okresu II wojny światowej. Wojna z Niemcami, część I*, oprac. W. Wierzbieniec, S. Wnęk. „Prace Historyczno-Archiwalne” 2024, t. XXXVI, s. 291-343.

³ *Ibidem*.

⁴ Bolesław Barzyk z Żyznowa, syn Władysława Barzyka, wieloletniego kierowcy Stanisława Bylickiego.

na miasto wywiadywać się, którądy można będzie przejechać przez San. Wyszukałem drugi dom od głównej ulicy jako najlepszy schron dla samochodu, duża podwójna brama żelazna z prętów żelaznych, duża obszerna sień. Trzeba zwerbować stróża, bo do wjazdu obydwie połowy bramy trzeba otworzyć. Stróż ma mieszkanie na parterze, informuje mnie jakaś starsza pani i wskazuje schodki z sieni, za którymi są drzwi od mieszkania stróża. Podziękowałem i za chwilę rozszedł się względnie wypełnił [ulicę] łomot siekierą, obuchem odbijany szufrygiel od bramy, nie odsuwany od nowości, jak informuje stróż. Po długim waleniu odbił wreszcie zasuwę górną i dolną i można było samochodem wjechać. Teraz Bolek wszedł do wozu, a ja poszedłem na miasto. Umawiamy się, że spotykamy się tutaj i pójdziemy na obiad. Szedłem, ażeby zobaczyć, jak wygląda most na Sanie. Niezachęcające robi wrażenie, zadrutowany i zabarykadowany, nie stanowi komunikacji i z urzędzeń widać, że to na dłuższy czas niezdymowalne urządzenie. Idę dalej popod wiadukt kolejowy, widać lokomotywę rosyjską, stojącą na pokaz propagandowo. Kocioł pomalowany na ciemnozielony kolor, dwa mosiężne pasy okalają go, wyczyszczone sidolem, wszystkie mosiądze błyszczą od sidolu. Oj, dzieci, dzieci. To ma oznaczać, że to niby wszystkie u was lokomotywy tak utrzymane i takie ładne, i nie czarne, jak wszędzie na świecie, tylko zielone, jak w głowie? Stałem i przyglądam się, drwiąc i śmiejąc się w duchu. Z przeciwnej strony przychodzi jakiś wojskowy niemiecki, zauważył mnie i śmiejąc się, mówi:

– *Propaganda Ausstellung*⁵.

Skorzystałem zaraz z tej przejściowej znajomości i potwierdzam to jego powiedzenie i dodaję:

– Widzi pan tu najlepszy dowód, jak głupi są ludzie.

I zagadnąłem go po tym wstępie, jak można by przejść na drugą stronę? Objaśnił mi, że trzeba iść do generalnego sztabu i wskazał, jaką ulicą iść i dokąd, i gdzie skręcić. Wdaliśmy się w rozmowę o dawnym Berlinie i w najlepszym nastroju rozeszli. Odnalazłem według tych wskazówek sztab generalny i rozmówiłem się z żołnierzem stojącym na warcie. Poinformował mnie, że dla osób cywilnych nie ma wstępu.

– A może w wyjątkowej sprawie zezwolą panu na rozmowę, ale teraz nie, tylko o godzinie trzeciej.

Wracając do naszego schronu, wstąpiłem do restauracji, gdzie było wielu niemieckich oficerów. Widać więc, że restauracja pierwszej rangi, otwarta w lecie przez Kellnera z Wiednia, który uciekł przed Niemcami po zajęciu Austrii przez Niemców. Tutaj ma swoją córkę, która wyszła za mąż za Polaka. Dobrze się im wiedzie, mają kamienicę swoją i w niej parter zamienili na sale restauracyjne. To ta restauracja, w której jestem. Siadłem szczęśliwie, bo zapłacił rachunek jeden kapitan i zrobiło się miejsce.

– *Wiener Schnitzel mit Kartoffelpüree*⁶.

Cywilnych osób było niewiele i zgodnie z Wermachtem zjadało obiadek. Dochodziła druga godzina, trzeba iść. Gdy przyszedłem, Bolek spał w aucie, a stróż mówił mi, że jadł obiad u pani porucznikowej na pierwszym piętrze. Ona chce napisać list do męża, żeby mu we Lwowie oddać. Mówiła, że pewnie rano jutro pojedziecie, a dzisiaj pan przenocuje u niej, bo pana zaprosi. Jak się składa dobrze, w razie zostania

⁵ Tu: wystawa propagandowa (niem.).

⁶ Sznyceł po wiedeńsku z ziemniakami purée (niem.).

do jutra mam gdzie spać. Chciałem w samochodzie, ale wyprostowanie nóg też coś warte. Jak to dobrze, że myśli się po cichu, bo co by kto pomyślał, że ja u pani porucznikowej dlatego będę nocować, że wyprostowanie nóg jest wiele warte i czyich, i co ja tam chcę robić.

– Wstawaj, Boluś kochany, musimy przed *Generalstab* [sztab generalny] zajechać autem, bo może dadzą nam zaświadczenie na samochód, to muszą go widzieć.

Wstał chłopak prędko, oprzytomniał, uśmiechnął się, bo mu się Żydy śniły, to szczęście będzie, interes jakiś dobry. Ostrożnie wycofaliśmy wóz i jazda główną ulicą, a czwarta ulica w bok to naszych dążności kuźnia. Bolek został przy wozie, a ja poszedłem. Żołnierz ten sam był co przedtem, więc bez kłopotu wszedłem do środka. Duży hall, dwoje drzwi, w odległości czterech kroków pierwsze. Już decyduję się dojść do nich, jak z korytarza wpadającego do hallu od strony naprzeciw wchodzi wachmistrz i patrząc na mnie groźnie, mówi: „tutaj nie wolno wchodzić”. Równocześnie jak na komendę otwierają się te pierwsze drzwi i ukazuje się kapitan. Ja jednym ruchem już jestem przy drzwiach, a wiedząc, że Niemcy są bardzo czuli na pochodzenie, przedstawiam się i mówię: „*Gutsbesitzer*⁷, mam ważną sprawę do omówienia”. Kapitan na to prosi mnie do środka, już jestem w sztabie, a pan wachmistrz z groźną miną pewnie się już wypogodził. Stoimy, rozmawiając, na środku sali i ledwie zacząłem przedstawiać mój plan pojechania do Lwowa, otwierają się drzwi od kancelarii i przychodzi pułkownik. Widząc nas rozmawiających, przystaje i pyta się kapitana:

– *Was ist hier?*⁸

W kilku słowach kapitan powiedział mu, że to jest *Gutsbesitzer*, który ma dzieci we Lwowie i chce je przywieźć samochodem, którym tutaj przyjechał. Pułkownik robi taki ruch ręką zapraszający, prowadzi mnie do swej kancelarii, tam przedstawia się:

– *Ich bin von Heidendorff, Oberst des Generalstabs*⁹.

Ja jemu przedstawiam się, podajemy sobie ręce, zaprasza mnie na kanapę, siadamy razem i on mówi:

– *Wir sind ja doch Kollegen, ich bin auch ein Gutsbesitzer*¹⁰.

Trudno o lepszy nastrój.

– Powiem wam, panie kolego, że wyobrażałem sobie inaczej tych Ukraińców. Jak tutaj zakwaterowaliśmy się, to chcieliśmy zapoznać się z literaturą, z muzyką ukraińską, tymczasem okazało się, że ten naród nieznanymi ani w malarstwie, ani w literaturze, w ogóle w żadnym kierunku świadczącym o kulturze narodu. To zupełnie surowy naród, a wygląd ich jest odstrasający. Poznaliśmy teraz z właściwej strony tak ludzi, jak i ich dążenia, inaczej nam to podawano, a że prawda sama się ujawnia, więc też to się obecnie stało. W sprawie tej, co pan mówił, że chciałby pan dzieci swoje ze Lwowa zabrać, to zapewniam pana, że zrobimy wszystko, żeby to się stało, niech pan chwilę tutaj posiedzi, a ja porozumiem się z generałem głównodowodzącym.

Po dłuższej chwili wraca pułkownik i pyta się:

– Czy zgodzi się pan na wdzianie munduru majora wojsk naszych i pojedzie pan do Lwowa z naszym kapitanem?

⁷ Właściciel dóbr, ziemianin (niem.).

⁸ Co tu się dzieje? (niem.).

⁹ Jestem von Heidendorff, pułkownik sztabu generalnego (niem.).

¹⁰ Jesteśmy przecież kolegami, ja też jestem ziemianinem (niem.).

– Na każdą propozycję, która umożliwia do skomunikowania się z dziećmi naszymi i przewiezienia ich do nas godzę się i nie mam słów doprawdy na wyrażenie wdzięczności za ten dowód dobrej woli ze strony pana pułkownika.

– Więc niech pan tutaj jeszcze czeka, my wszystko przygotujemy.

Nie czekałem tyle, ile myślałem, a wszedł pułkownik i prosił mię do generała. Idziemy przez salę, w której zapoznałem się z pułkownikiem, patrzą wszyscy, tak kapitanowie, dwóch majorów na te zabiegi pułkownika, no i teraz idziemy do generała ekscelencji, co to za figura, ten Bylicki, ten Polak? Weszliśmy, pan generał wstał, przywitał się serdecznie, doprawdy tylko takie zdarzenia we śnie bywają i wtedy tę marę senną traktuje się jako głupstwo. Na dużym stole leży duża mapa z różnymi oznaczeniami, pewnie jednostek wojskowych. Generał pyta się, ażeby wskazać, gdzie leży nasz majątek. Gdy wskazałem, mówi:

– *Ja, das stimmt* [tak, zgadza się].

Bo oni już przedtem odnaleźli w spisie wszystkich miejscowości na całym terenie Polski. Chodziło o to, czy nie ma takich nazw więcej, jak Żyznów. Generał pyta:

– Jak pan woli, czy w przebraniu pojechać jako nasz major wojsk, czy też dalibyśmy panu pismo do generalnej komendy armii rosyjskiej z prośbą o ułatwienie panu w przewiezieniu osób rodziny pana i wymienimy ich imiona, wtedy pojedzie pan samochodem swoim.

– Panie generale, nie mam słów na wyrażenie wdzięczności. Mam wrażenie, że to jest najprostsza droga.

– My oprócz tego – mówi generał – porozumiemy się telefonicznie z komendą we Lwowie. Nic więcej chyba nie potrzeba, więc proszę, niech pan siada, porozmawiamy chwilę, a przez ten czas napiszą potrzebne pismo.

Pułkownik poszedł dyktować, po chwili wraca:

– Proszę numer samochodu – daję legitymację – i proszę imiona dzieci. Dokładnie proszę napisać.

Zaraz napisałem, on wziął tę kartkę i poszedł dalej dyktować. Po chwili przychodzi, daje generałowi do przeczytania, generał zwraca mu z powrotem i mówi:

– Tak, zupełnie dobrze. – Pułkownik kartkę daje mnie.

– Niech więc pan jutro wcześniej rano jedzie do Radymna. Tam pan przejedzie przez most na drugą stronę, a posterunek koło mostu nasz graniczny ułatwi panu porozumienie się z władzami rosyjskimi na moście. Nasz porucznik dyżurny dostanie już teraz od nas rozkaz. Więc szczęśliwej podróży i proszę bardzo, niech pan w drodze powrotnej nas zawiadomi, jak się panu wszystko składało i jaki rezultat.

To, co w tych kilkunastu słowach ujęte, trwało do godziny szóstej wieczorem. Wyszedłem pełen sukcesu, ale też i wyjątkowego błogosławieństwa. Przychodzę do samochodu, a koło samochodu stoi żołnierz niemiecki z karabinem i bagnetem na karabinie. Żołnierz mówi mi:

– Pan jest właścicielem tego samochodu?

– Tak – odpowiadam.

– To proszę pana, wóz ten został zajęty, bo nie wolno ludności cywilnej używać samochodów.

– Zaraz na to panu dam odpowiedź.

I poszedłem do generalnej komendy z powrotem, tymczasem na korytarzu spotykam pułkownika, któremu to mówię. On na to:

- Ajaj, ajaj! – i uderza się po czole ręką.
Nadchodzi ten *feldfebel*¹¹ srogi. Pułkownik mówi:
– *Laut meinem Befehl ist das Auto frei*¹².

Idziemy razem z *feldfeblem* i on mówi żołnierzowi rozkaz. Oczywiście, ten ustąpił natychmiast. Wsiadłem, już mocno poszarżało, ruszyliśmy z kopyta, jak na złość przez tę najgłośniejszą ulicę, i walimy nie zanadto prędko, żeby nie zwracać niczym uwagi. Przyjechaliśmy szczęśliwie do naszego schronu. Stróż otworzył bramę, wstało się wóz i etap jeden skończony. Dokument, który sobie wolno i spokojnie przeczytałem, jest też dla mnie doskonałym w czasie jazdy do Radymna.

Przychodzi do mnie do sieni jakaś pani młoda i mówi, że zaprasza mnie do siebie na herbatę i na przenocowanie. A będzie miała do mnie interes, to mi powie na górze. Podziękowałem i sprawdziłem pomieszczenie dla szofera, które dał mu stróż w osobnym pokoju mieszkania, w którym nie ma nikogo na parterze. Spytałem tylko Bolka, czy ma dosyć pieniędzy, bo wyjeżdżając dałem mu, ale teraz nic nie wiem, jak jest z rozchodami. Dodałem mu więc dwadzieścia złotych, oczywiście dawnej waluty. Poszedłem razem z tą młodą panią na pierwsze piętro i pokrótce opowiedziałem, jaki cel mojej jazdy był tutaj, no i dalej. Chodziło jej, ażeby list od niej doręczyć jej mężowi we Lwowie. Wziąłem ten list i zaręczyłem doręczenie, i jej następnie od niego.

Rano następnego dnia, to znaczy w piątek, ruszyliśmy o godzinie szóstej rano z Radymna. Jechało się świetnie, skręciliśmy w Radymnie na most, to znaczy na drogę prowadzącą do mostu i zastajemy drogę w poprzek założoną grubymi rurami cementowymi, za którymi stoją tarcze na drągach z trupimi głowami, a w dali kilku żołnierzy, którzy mają być dla tych trupich główek dostawcami nieposłusznych prawu czy rozkazowi. Wyciągam papier i macham nim, pokazując tym stojącym w dali żołnierzom. Wyszedł jeden z nich i przyszedł do mnie, pokazałem mu to pismo, a on na to:

– Aha, to pan, no my już wiemy, jak tu przyjedzie samochodem taki siwy pan, to mamy go zaprowadzić do komendy granicy. Proszę ze mną – i zaprowadził mnie.

Tam doznałem bardzo uprzejmego przyjęcia, bo już wszystko wiedzieli i polecił mi porucznik przyjechać o godzinie trzeciej po południu. Teraz mamy wpaść do jedynastej przed południem, co będziemy robić Bolku kochany? Kiedy tak radzimy, bo ani ja, ani Bolek Radymna nie znamy, widać z daleka, jedzie w kierunku mostu parą koni wóz. Podjechał niedaleko nas, stanął i wysiadł z niego Żyd, który podparł się ręką o poręcz wozu i stoi wpatrzony w ziemię. Zwróciło to moją uwagę, bo widzę w tym człowieku jakieś takie zadumanie, jakby „co teraz będzie? co wypadnie robić?” Może mógłbym w czymś pomóc, mam już znajomości tutaj nadgraniczne, więc może będę mógł coś zdziałać. Podchodzę do owego zdeterminowanego wyglądającego i pytam:

– A co to się panu stało?

Na to podniósł głowę do góry i z wielkim zdziwieniem pyta się:

– A skąd to pan może wiedzieć, że mnie się coś stało?

– Widzi pan, ja panu to wytłumaczę: są ludzie, co patrzą okiem, to nic więcej nie widzą, tak jak przez soczewkę szkła, a ja patrzę sercem, słyszy pan, więc widzę to, co inni nie dojrzą. Jeszcze zdziwienie wzrosło i równo z tymi słowami mnie spotkało takie nieszczęście.

¹¹ Właśc. *Feldwebel* – sierżant, *feldfebel* (niem.).

¹² Z mojego rozkazu to auto jest wolne (niem.).

– Co takiego? Ja mam pole i gospodarstwo tutaj na tej stronie Sanu, cztery morgi, a tam, na tamtej dwie morgi. Tutaj mam dom no i wszystkie rzeczy. Jak teraz taki czas przyszedł, że tutaj na tej stronie będzie niebezpiecznie, bo pan wi, co ze Żydami Niemcy tam u siebie robią, no to ja chciał zabrać rzeczy i na tę stronę za San wyjechać. To ja kiedyś chciał zabrać rzeczy, a te Ukraińcy nie dali i jeszcze przezywali: ty *jewrej* [Żyd] sukinsyn i *wsistko* co najgorsze. To *poszed* do komendy niemiecki i to opowiedział. To ten *leutnant* [podporucznik] ze mną pojechał do wsi i mnie zabrał na auto i zapowiedział, że wszystkie moje rzeczy mają być zwrócone, bo oni rozebrali pomiędzy siebie wszystko i mają te rzeczy złożyć na plebanii u księdza, u popa, ale to pan *wi*, jak to jest pop, tyle warta co i oni. Bo to nie ksiądz katolicki, tylko pan *wi*, jakie to ludzie bez sumienia ci ich księża. Dzisiaj, tak jak *leutnant* kazał, przyjechałem po rzeczy do księdza, on zawiadomił wieś. Jak się te dzikie zwierzęta zleciały, te baby, panie, to jak w menażerii tygrysy, żebyś pan widział te pyski, to nie ludzie i zaczęli *odkazywać* [tu: wygrażać], że jak się poważę jeszcze raz przyjechać, to mnie *zabijom*. To co ja miał zrobić, to ja wziął tyle co pan widzi na wóz, a reszta została.

– Posłuchaj pan, teraz tak zrobimy. Ja zaraz pojedę na komendę niemiecką, wezmę kapitana na mój samochód i pana tam, i oni muszą oddać wszystkie rzeczy. Niech więc pan siada teraz na mój samochód, proszę zabrać wszystkie rzeczy i pojedziemy.

Żydowi się twarz rozpogodziła i jedziemy. Zapytuję go po drodze, gdzie by można co zjeść, bo od rana od piątej już żołądek gra?

– A no to niech pan szofer jedzie tutaj prosto, tak, przejechać teraz drogę tą w poprzek, tak, a teraz znowu prosto ciągle koło tego płotu, a teraz proszę stanąć, otworzymy bramę, to pan wjedzie. – Wysiadł ze samochodu, otworzył bramę i wjechaliśmy na podwórze jakiegoś domu, wyglądającego na chałupę wiejską. – Niech panowie wysiądą, ja pójdę do gospodarza, to on zrobi co potrzeba. – Wrócił i oznajmił nam, że gospodarz zaraz przyjdzie. Siedliśmy na takiej zwykłej długiej ławce i Żyd koło mnie i zaczęła się taka zapoznawcza rozmowa od słów:

– A przepraszam, czy pan to może jest dziedzic?

– Tak – odpowiadam.

– A z których stron?

– Od Strzyżowa, nasz majątek nazywa się Żyznów.

– To pan jest dziedzic ze Żyznowa?

– Tak.

– To ja mam takie szczęście widzieć pana ze Żyznowa co ma od rabina Horowitza¹³ błogosławieństwo?

– Tak, tak, to ja jestem.

– Ja mam szwagra w Strzyżowie, Borgenicht¹⁴.

– Doskonale znam Borgenichta, handlujemy razem.

– Co słyszę, co ja słyszę. To jaśnie pan dobrodziej, to jaśnie pan dobrodziej, ha, ha, jakie ja mam szczęście.

Tutaj muszę wtrącić, że Żydzi uważają sobie za szczęście bezpośrednio spotykać i mieć coś do czynienia z naznaczonymi od rabina, bo to błogosławieństwo promieniuje, więc i jemu się dostaje.

¹³ W latach 30. w Strzyżowie było dwóch rabinów o tym nazwisku – Chaim Horowitz i Naftali Horowitz.

¹⁴ I. Borgenicht w Strzyżowie prowadził sklep wielobranżowy, zob. *Księga adresowa Polski (wraz z W[olnym] M[iastem] Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa*, Warszawa 1929, s. 790-791.

– A teraz mogę ja wiedzieć, gdzie pan chciał jechać, co na trzecią godzinę ma pan być nad granicą?

– Chcę jechać do Lwowa, bo tam są nasze dzieci. Chcę ich zabrać i zawieźć do nas.

– To pan już pojechał do Lwowa – mówi ów Żyd.

– Jak to, panie, ja jestem samochodem i nie mogę gdzieś na zieloną granicę przejeżdżać – informuję mojego towarzysza doli i niedoli.

– Jak ja panu dziedzicowi mówię, że już pan pojechał, to ja muszę wiedzieć, co ja mówię.

– No zapewne, zapewne, no więc jak to ma być? – zapytuję go.

– Ten, *wi* pan dziedzic, co tu jest tym komisarzem na moście do przepuszczania, to on jest mój zięć, nazywa się Goldfarb. To ja mu powiem, jaki pan dla mnie był, no i kto pan jest, to nie odmówi panu. Tylko już pan jedzie, a ja muszę się odwdziżyć, co pan chciał pomagać mi w dostaniu rzeczy i chciał pan po tym jedzeniu pojechać ze mną do niemieckiej komendy. To ja dziękuję bardzo, ale ja zostawię to na boku, bo jeszcze by mnie zabili. To nie ludzie, to Ukraińcy.

Podczas tej rozmowy przyszedł ów gospodarz. Dałem mu kotlety do odgrzania, on postawił masło i zrobił nam kawy. Ja miałem kawę gotową na drogę, to tę wolałem mieć, a gospodarz ograniczył się do zagotowania wody. Ja kawę zaparzyłem potem i dał nam doskonałego mleka, prawie jak śmietanka, z wierzchu się zebrało i z kawą było coś świetnego. Siadł sobie ten gospodarz z nami i w rozmowie zrobiło się już wpół do trzeciej, czas najwyższy jechać. Rachunek bardzo skromny zapłaciłem. I w drogę.

Podjechaliśmy do samego mostu, to znaczy stanęliśmy w odległości około pięćdziesięciu metrów od mostu. Legiony ludzi czekało na przejście tutaj i tam, ruch widać przez granicę, zanim się to wszystko przewali, olbrzymi. Stojąc, czekaliśmy na otwarcie ruchu i przez ten czas atakowany byłem, gdzie jadę, no i oczywiście żebym zabrał to tego, to znowu innego. Jakiś Ukrainiec dał mi listy do wręczenia we Lwowie, wziąłem. Wreszcie przyszła decydująca chwila. Władza rosyjska ukazała się na moście, zdjęto harmonijkę drutu kolczastego i zaczęło się przechodzenie. Na pierwszy ogień poszedł mój Żyd, który wskazał na mnie, rozmawiając ze swoim zięciem, panem komisarzem Goldfarbem i po chwili rozmowy zrobił ruch ręką, żeby przyjsć. Poszedłem, przywitaliśmy się, pokazałem dokumenty armii niemieckiej, on podszedł do komandira [dowódcy] NKWD i powiedział mu o co chodzi. Komandir przyszedł do mnie, po krótkiej rozmowie zwrócił się do niemieckiego leutnanta i razem poszliśmy do samochodu. Co to miało znaczyć lokhomaszyna¹⁵, to do dnia dzisiejszego nie wiem, czy to nie oznacza lekkiej maszyny, czyli motocykla, bo widać z tego co on mówił, że on myślał, że ja jadę na tej lokhomaszynie. Tymczasem, jak zobaczył takiego kolosa, to zadecydował zafra sześć godzin¹⁶ rano. Doskonale, podziękowałem i zawróciliśmy już sami, bo nasz Żyd poszedł do wsi Rafałówka¹⁷, gdzie jest główna siedziba graniczna rosyjska. Jedziemy z powrotem wolno, bo nie wiadomo gdzie, ale już bez strachu, mając takie dokumenty, to jest *Offener Befehl*¹⁸ do wszystkich władz niemieckiej armii.

¹⁵ Być może, winno być: *logkaja maszyna*, tu: samochód osobowy (*ros.*).

¹⁶ Winno być: *zawtra w szest' czasow* – jutro o szóstej godzinie (*ros.*).

¹⁷ Rafałówka – wieś nad Sanem koło Radymna.

¹⁸ Rozkaz wyjazdu, przepustka (*niem.*).

Na drogach rozstajnych z mostu do szosy miejskiej stanęliśmy i myślimy, gdzie jechać. Podbiega do nas jakaś pani młoda i mówi, że goni za nami od samego mostu, bo słyszała to umówienie się na jutro, a ona ma we Lwowie swojego męża i chce mu napisać różne ważne rzeczy, żebyśmy oddać mogli mu ten list, i pokazuje, bo chciała go dać komuś, co tam idzie, ale to wszystko niepewne, więc nam daje i pyta, czy mam gdzie zanocować w Radymnie. Mówię, że nie, ale może przecież jest jakiś hotel. – To proszę jechać do mnie, ja w takim razie wsiądę do samochodu. – Ależ naturalnie, proszę bardzo. – Siadła owa pani i ruszyliśmy pod jej komendą: teraz na prawo, teraz prosto, o tutaj, tutaj na lewo trochę i w tą uliczkę, tak, tędy, a teraz w tej ulicy trzeci dom. Doskonale, wysiadamy.

– Ale, proszę pani, gdzie wóz wtoczyć?

– A prawda, jest tutaj taki warsztat ślusarski, to najlepiej tam, zaraz następny dom.

Idziemy razem z nią, majster warsztatu jest widać dobry znajomy tej pani. – A gdzie wóz? – zapytuje ów majster, pokazujemy mu. – To ja podejdę – mówi – bo on musi tyłem wjechać, bo by rano trudno mu było obrócić.

Przejechał więc Bolek ulicę trochę dalej i wracał tyłem, zakręcił i już jest wóz na podwórzu, a za chwilę w czystym aż miło garażu. Zamknął majster garaż i dał klucz mnie, bardzo elegancko, pomyślałem. Aż po dzień dzisiejszy to trwa, to jest nie więcej jak lat okrągło dwadzieścia i kilka dni, bo wtedy był 10 października 1939 roku. Teraz jest 27 październik roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć.

– Czy nie wie szanowna pani, jest tutaj jaka cukiernia lub co najmniej kawiarnia?

– Ach, to przecież u mnie napijemy się kawy.

Trudno, tak chciałem trochę być sam. Nie da się, więc wracamy te kilka kroków razem z Bolkiem, ale on po drodze mówi mi, że wolałby sobie pójść do kawiarni. Ja też, powiedziałem mu, ale co zrobić. – No, jasnie pan co innego. – Zazdroszczę ci, doprawdy, o czym ja będę gadał, bo o innej robocie to nie ma mowy, bo to takie chucherko jakies podwiatrowane, takie niby leciutkie, oj Boże, gdzie ci ludzie mają gust i żenią się z czymś takim, okropność.

– Proszę pani, a kawiarnia jest w Radymnie, bo szofer chciałby tam iść?

– Jest, nawet ładna i funkcjonuje.

I pokazuje, jak iść. Psiakrew, pomyślałem, czego ja dzisiaj specjalnie nie jestem szoferem, byłbym sobie w kawiarni siedział swobodnie z Bolkiem, a tak to jestem uwiązany. Przyszliśmy z tą donną¹⁹ do jej mieszkania i widzę: to nie takie łatwe rzeczy. Siedzi stara kwoka, tylko nie na jajach; teściowa. O cholera, myślę, to ci obsada nie lada. Witam się, przedstawiam, ta wiatrówka²⁰ opowiada jej, że ja jadę do Lwowa i wezmę list do jej syna.

– A tak, to bardzo dobrze, to i ja się dopiszę.

– Kiedy mam, list już zapieczętowany.

– A cóż to trudnego odpieczętować.

Mama wcale mocno postawiła tę decyzję, ale nie zrobiło to większego wrażenia, zwłaszcza że miała doskonały pretekst pójścia do kuchni robić kawę. Podczas robienia kawy to, czegom się bał najbardziej, to się już stało i dalej się jeszcze będzie działo, to

¹⁹ Tu w znaczeniu: kobieta.

²⁰ Tu ironicznie: nadmiernie szczupła kobieta.

jest rozmowa. O czym z takimi typami rozmawiać aktualnie? Więc pani teściowa stawia pytanie:

– Co też pan powie na to wszystko, co to z tego będzie?

– Ja, proszę pani, to mówię, że najmądrzej robi ten, co się nie pyta, bo i tak odpowiedzi trafnej nie dostanie. Że wojna, jedno jest pewne, będzie dla Niemców przegrana, to nie ulega wątpliwości, a jak to będzie długo trwało, to jest pytanie nie do odpowiedzi. Jedno znowu jest pewne, że kilka lat.

– To usłyszałam doprawdy coś nowego, bo wszyscy mówią, że teraz Rosja z Niemcami razem pójdzie.

– Niech pani będzie łaskawa powiedzieć temu, co takie idiotyzmy snuje, że nie wiem, czy rok upłynie, a usłyszysz pani tutaj armaty niemieckie w szturmie na armię rosyjską i marsz zrobią het bardzo daleko, i to właśnie ich zgubi, a potem powrót i wzięcie Berlina. Proszę to zanotować, że to pani powiedziałem, datę dokładnie.

Patrzyła na mnie trochę dziwnie – i niedowierzająco, i z radością.

– Co pan mówi! – Wstała, poszła do kuchni i słyszę:

– Haniu, słyszysz co pan mówi? – powtarza jej to wszystko.

Wróciła i Hania za nią z pachnącą ładnie – nie teściową, a kawą. Oj Boże, te rozmowy, te rozmowy, cóż za przelewanie straszne, to szczęście, że już się robi ćmak. O Boże! Jak to dobrze, że ten czas tak pędzi, już i mój wiek wolałem postawić na to pędzące koło, bo mam w tej chwili korzyść powiedzenia: do widzenia, które zbliża się. Patrzę po książkach: „I spojrział na mnie z twarzą tak litosną”, bo to po tym można najlepiej poznać towarzystwo, jakie ma aspiracje, a po nich charakter. Książki niezłe, cały Krasiński, Mickiewicz, śliczne wydanie ilustrowane, ale śliczne. A *Pan Tadeusz* to coś cudownego, koncert Jankiela, ach Boże, jaki śliczny, Słowacki *Ojciec zadżumionych* ilustrowany, ta scena „rozpłakał jak dziecko głośno” i inne świadczyłyby o dosyć ładnych aspiracjach. W rozmowie jeszcze dowiedziałem się, że mąż owej podszytej wiatrem pani jest profesorem literatury w gimnazjum w Radymnie, a obecnie w wojsku jako rezerwowowy porucznik. Skracając ten nieciekawy pobyt do wyjazdu, z radością powitałem piątą godzinę rano. Było jeszcze ciemno, ubrałem się, a na wieczór przed spaniem umyłem się w łazience. Wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie był Bolek. Już go nie zastałem, pewnie mocuje się z wyjazdem, bo dosyć było ciasno. Tymczasem wchodzi Bolek i mówi:

– Już zajechałem.

– Doskonale, Boleś kochany, ja schodzę.

Młoda pani, wiatrówka poczciwa, wstała, pożegnałem się z nią i wziąłem list. Na dole stoi wóz, siadam koło Bolka i jedziemy. Przyjechaliśmy do rur, żołnierze usunęli dla tego pana siwego, podziękowałem im i podjechałem pod granicę mostu ze stałym ładem. Czekamy. Od strony rosyjskiej w dali zamigotały sylwetki ludzkie, moment oczekiwania. Tak, już widać Goldfarb i *komandir* przyszli. Jeszcze przez zasieki, powiedziałem dzień dobry, zdjęli druty i granica została otwarta specjalnie dla tego przejazdu mojego.

Już podaliśmy sobie ręce, czekamy na porucznika, przyszedł o kwadrans na siódmą. – No, gdzież to jest punktualność niemiecka – zagaja pan Goldfarb. Nie ma na to odpowiedzi, tylko – proszę jechać. Wobec tego wjechaliśmy na most, stanęliśmy, bo musieli zadrutować znowu harmonijkę kolczastą, wsiedli do samochodu naszego i zaczęliśmy jechać. Na Bolka padł strach.

- Jaśnie panie, wróćmy, wróćmy. - Tak fatalnie na niego podziałali żołnierze rosyjscy w mundurach i w tych czapkach takich szpiczastych.

- Ale, Boleś kochany, widzisz przecież, że jestem koło ciebie, jakby co złego miało być, to ja bym wyczuł.

Podjechaliśmy pod budynek komendy. Tam miałem dostać *bumagę* [papier, dokument]. Po dłuższym czasie wychodzą do mnie i *komandir*, i Goldfarb z jakimś typem, i przedstawiają mi go, że jest [to] *komandir* z Rafałówki, przydzielony mnie z rozkazem na piśmie. On lepiej załatwi wszystko po drodze, jaka potrzeba będzie, jak martwa litera pisma. Proszę, niech wsiada. Wsiadł więc na tylne siedzenie, a ja zostałem na moim koło szofera. Droga błotna, ale bez wyboi, jedzie się dobrze i nie szybciej, jak około sześćdziesiąt i poniżej. Gdy ujechaliśmy jakieś pięć kilometrów, koło mostku stoi *sołdat* [żołnierz], zdejmując karabin i zwraca bagnetem nabitym na lufie do nas i woła:

- *Postoj, postoj!* [stój]

- A stańże wreszcie, Bolek, co ty robisz, chcesz żeby strzelił?

Stanął wreszcie. Sołdat przyszedł:

- *Kuda jediesz?* [dokąd jedziesz?] - pyta tego siedzącego w tyle. - Do Lwowa. - Przeciąga po nas tym bagnetem, jakby szprycował ze szlauchu wodą kilka razy, i tu, i tam, i po chwili woła: - *Ujeżdżaj* [odjeżdżaj].

Ruszyliśmy, jedziemy. Zwracam się do tego *komandira* milicji i pytam go, czy więcej będziemy mieli takich zatrzymań, on na to odpowiada:

- Ho, ho, co to jeszcze będzie, ale to nic nie szkodzi, dobrze zajedziemy. Ja mam dobry *dokument ot* pułkownika.

- Wie pan co, ja mam tu listy i te, co mi dał ten Ukrainiec na moście. To pan widział. Wołę, jak to pan będzie miał, bo pana rewidować nie będą.

- Dobrze, proszę dać! - więc mu dałem, a on mówi: - To ja we Lwowie doręcę.

- Doskonale, ja panu to wynagrodzę.

Z daleka widać mnóstwo wojska, już widać wyraźnie konie, to artyleria jedzie w tym samym kierunku co my.

- Pamiętaj, Bolek, nie zatrzymuj samochodu, dokąd ja ci nie powiem stań, żeby nie wiem jak wołali. Ale jak powiem stań, to stawaj zaraz.

Jedziemy, już dogoniliśmy pierwsze armaty, ale szybko się ich mija. Jadą wielkim porządkiem z jednej tylko strony drogi. Mijamy ich świetnie i po dłuższej chwili znów mamy drogę wolną przed nami. W dali widać jakiś mur poprzecznie do szosy stojący. Co to takiego - myślę - czy ta droga kończy się murem? - to niemożliwe. Zbliżyliśmy się już bardzo dużo, a za chwilę odślania nam się zakręt drogi w rynek i równo wygina się mur kościelny stosownie do drogi. Wjechaliśmy w sam początek rynku. Bolek niespostrzeżenie stanął i pyta się:

- A jak teraz jechać - prosto czy skręcać?

- Widzisz przecież słupy telegraficzne, droga idzie tak jak słupy. Zresztą, żeby się spytać, to musisz stawać, popatrz się, i to gdzie, w takiej masie ludzi, wojska. Bój się Boga, a jedźże dalej.

Bolek starteruje, a samochód nie chce zapalić. Wychodzi więc Bolek z wozu i bierze korbę do zakorbłowania motoru. W tym momencie otwierają się drzwi jakiegoś domu i wychodzi młody, szykowny porucznik wojska. Popatrzył na nas i podchodzi bliżej i pyta tego milicjanta, co siedzi w tyle:

- *Kuda jediesz?*

– *Wo Lwow* [do Lwowa].

– *Kto ty takoj?* [kim jesteś?]

On mu coś bełkocze po rosyjsku.

Słyszę nagle: – Wysiadał, a *wy ostańties' tut* [zostańcie tutaj].

Dobry interes, Bolku kochany, co teraz będzie? Czekamy. Podchodzi jakiś Żyd:

– Gdzie pan jedzie?

– Do Lwowa.

– Panie, niech mnie pan weźmie, ja zapłacę.

– Dobrze, miejsca jest na tyle, ale zatrzymano mnie i czekam, co będzie?

Jak piorunem rażony, odskoczył i pokazał mi tylko na szyld czerwonymi napisany literami.

– Ja czytać nie umiem tych hieroglifów sanskryckich – odpowiadam.

Za chwilę przychodzi znów Żydówka:

– Gdzie pan jedzie?

– Do Lwowa – odpowiadam.

– To weźmie mię pan, ja zapłacę co pan chce.

– Dobrze, proszę pani, ale to nie ode mnie zależy, bo jestem zatrzymany przez porucznika stąd. I pokazuję drzwi.

– Oj, to niedobrze, niedobrze, niedobrze – i ucieka.

– A co to jest to NKWD? – pyta Bolek.

Teraz po biednym Bolku chodzą kolory takie, jak po bańce mydlanej dużej tuż przed pęknięciem.

– Popatrz, widzisz, no co teraz będzie? Już byśmy byli w Janowie i do Lwowa dwadzieścia kilometrów.

Przychodzi ten porucznik sam.

– *Cz'ja eto maszyna?* [czyj to samochód?]

– Moja – odpowiadam.

– *A dokument?*

– Proszę, to jest Austro-Daimler. Tutaj napisane moje nazwisko, o proszę. – Czyta, to jest pismo generalnej komendy i sztabu niemieckiego do generalnej komendy rosyjskiej o przepuszczenie mnie do Lwowa.

– *Choroszo, ostańties', jeszcze ja raz pridu*²¹ – poszedł.

Przyprowadza owego milicjanta, sam staje na stopniu samochodu koło mnie i mówi: ujeżdżajcie. Bolek zastarterował i samochód ruszył natychmiast, a przedtem nie chciał. Jedziemy za wskazówkami porucznika i tak dojeżdżamy do jakiegoś znowu domu, gdzie jest kapitan. Wsiada on na nasz samochód i jedziemy teraz znowu gdzie indziej. Przyjechaliśmy. Otwiera drzwiczki od przedniego siedzenia i w tonie bardzo grzecznym mówi:

– *Proszu was* [proszę pana] – i ręką pokazuje, żeby wysiąść.

A do owego *komandira* milicji tonem bardzo szorstkim: – Wysiadał.

Weszliśmy do sali, gdzie stał telefon i było kilku żołnierzy. Pan kapitan po indagacjach, co, jak itd., telefonuje do szefa *obłasti* [obwodu] i w pewnej części rozmowy słyszę *zadierzat' czy puskat'*²². Wreszcie rozmowa skończona i mówi teraz, że po-

²¹ Dobrze, zostańcie [tu], ja przyjdę jeszcze raz (*ros.*).

²² Winno być: *zadierzat' ili puskat'*? – zatrzymać czy przepuścić? (*ros.*).

jedziemy do szefa *obłasti*. Wsiedli obaj i milicjant, jedziemy. Pokazują tam, gdzie ta czerwona chorągiew wisi. To jest komenda. Podjeżdżamy pod balkon domu i wysiadamy. Prowadzą nas na górę. Na pierwsze piętro przed szefa *obłasti*. Wysoki chłop, czarny, podajemy sobie ręce, prosi, żebym siadał i zaczyna się teraz rozmowa. Tych dwóch, co mnie przyprowadzili, oddalił.

- *A, to wy pomieszczyk* [ziemianin, obszarnik].

- Tak – odpowiadam.

- *A skolko to macie murgów?*²³

- Tysiąc dwieście sześćdziesiąt cztery.

- *Ooo, to wy bogaty pomieszczyk, no [ale] można nie mieć ani jednej murgi a być bohatym, a można mieć wiele murgów a nie mieć diengów* [właśc. *dienieg* – pieniądze], *nu da, da* [no tak, tak].

Teraz zwraca się do stojącego w kącie milicjanta z miną jak na ścięcie.

- *Ty posłysz* [tu: słuchaj], *ty znasz pomieszczyka?*

- *Da, ja znam pomieszczyka.*

- *Skolko to kilometrów jest od Radymna do sieła* [wioski] *pomieszczyka?*

- Sześćdziesiąt.

- *A wy* – zwraca się do mnie – *możecie pokazać, gdzie wasze dobro jest na mapie?*

- Tak jest, ja pokażę. – Rozkłada wielką mapę Rosji i po całej konfiguracji terenu widzę okolice Brzozowa, tak mi to wygląda. A że nie umiem czytać po rosyjsku, więc proszę go, by mi powiedział, czy to jest Brzozów? Pan szef patrzy i potwierdza, że to Brzozów. Idę więc za drogą tak jak idzie i dochodzę do Żyznowa. I pokazuję:

- *O, tutaj Żyznow, a to Bonarówka.*

- *Skolko to kilometrów?*

- Sto dwadzieścia trzy z Żyznowa do Radymna, do mostu. Przeczytajcie, co piszą *Germańce* do nas. „Generalna Komenda armii niemieckiej, germańskiej, prosi generalną komendę rosyjską o zezwolenie na przejazd samochodu marki Austro-Daimler, Nr wozu 6213 – Wienerneustadt, panu Stanislaus *Ritter* von Bylicki *Gutsbesitzer in Żyznow*, właścicielowi dóbr w Żyznowie, z Żyznowa do Lwowa, gdzie znajdują się dzieci jego: Wojciech Bylicki, Katarzyna Bylicka, Andrzej Bylicki i Magdalena Bylicka w mieszkaniu jego siostry, córki profesora uniwersytetu, wydziału ginekologii. Mieszkanie wymienione znajduje się w domu przy ulicy Bielowskiego nr 5, a dom ten jest własnością profesora doktora Władysława Bylickiego. Generalna Komenda gwarantuje za osobę Stanisława Bylickiego w każdym kierunku jako człowieka kulturalnego i zarecza, że celem jego jest tylko przewiezienie dzieci jego do swego domu w Żyznowie, przy czym zaznacza Komenda Generalna, że wymienione osoby są obecnie obywatelami niemieckimi w Polsce okupowanej. Dlatego to winny się znajdować na terenie swego stałego zamieszkania w Żyznowie, a nie na terenie zajęтым przez armię rosyjską, a w szczególności we Lwowie. Generalna Komenda Niemiecka ma nadzieję, że osoby wymienione bez trudności zostaną przewiezione na stronę Polski okupowanej przez armię niemiecką”. To odczytałem, tłumacząc z tekstu niemieckiego na polski, wtrącając gdzieniegdzie wyrażenia rosyjskie.

- *A powiedzcie mi pan, co robi wasz syn Wojciech?*

²³ *A ile to macie morgów? (ros.)* [właściwie mórg to po rosyjsku *morgien*].

– On studiuje sztukę.

– To co, on jest w cyrku? A jakie on robi sztuki, bo u nas to potrzebujemy takich do naszego cyrku w Moskwie, co jest największy na cały świat.

Mój Boże, jak to dobrze, pomyślałem, mam już *engagement* [tu w znaczeniu: posadę] dla Wojtusia, i takie dla niego odpowiednie.

– Panie szefie, on nie robi takich sztuk cyrkowych, tylko studiuje malarstwo i architekturę, to u nas nazywają się sztuką.

Milicjant śmieje się i daje mi znaki, jakie mądre robi pan szef spostrzeżenia, i mówi:

– *Towaryszcz pułkownik, on takoj...* [towaryszcz pułkownik jest taki...].

– *A ty czto tu chcesz, ja tobie skazał goworit'?* Mołczaj, swołocz, *ponimajesz?*²⁴

– A Katarzyna studiuje rolnictwo w Akademii Rolniczej w Snopkowie pod Lwowem.

– *Andrej, co on robi?*

– On studiuje na uniwersytecie chemię.

– *O, eto choroszo*, to on zostanie tutaj, bo my *potriebujem* [potrzebujemy] chemików.

Dobryś, tego trzeba mi było. Ale zebrałem się od razu, żeby mu ripostę wsunąć i odpowiadam:

– *Wy także potrzebujecie chemików, ale nie studentów, bo macie ich dosyć, on ma jeszcze cztery lata nauki. Gdyby został, to kto mu będzie studia płacił i pobyt w Rosji, a następnie, tak jak wy potrzebujecie chemików, tak i my potrzebujemy chemików, a zresztą we waszym reżimie socjalistycznym nie ma chyba przymusu, bo to nie byłby socjalizm zmuszać kogoś do pozostania tam, gdzie on nie chce. A zresztą, panie pułkowniku, on jest obywatelem teraz *giermskim*, tak jak i ja, i nie ma przyczyn do zatrzymywania go. Tutaj w piśmie jak go czytałem, jest najwyraźniej, że władze rosyjskie nie będą robić trudności z wydaniem osób wymienionych w piśmie.*

– *Nu choroszo*, a powiedzcie mi, czy wy musicie być we Lwowie?

Zrozumiałem, o co mu chodzi. Jeżeli odpowiedziałbym, że muszę być, to jestem *szpion* [szpieg] i *pod stienku* [pod ścianę, tzn. rozstrzelać] od razu, więc odpowiadam:

– Ja we Lwowie nie mam żadnego interesu innego jak tylko zabrać dzieci i jechać z powrotem, więc nie muszę być, tylko w tym celu chcę być.

– *Nu, a jak wasze dzieci tu byłyby?*

– To, panie pułkowniku, byłoby najlepiej, bo nie potrzebowałbym jechać do Lwowa.

– *Posłuszajcie, pan Bylicki*. Do Lwowa pojedzie *komandir* waszym wozem, waszą maszyną, a wy, pan Bylicki, pojedziecie naszą maszyną do Radymna i tam zostanieie, aż wasze dzieci tam przyjadą. My telefonicznie zawiadomimy komendę graniczną w Radymnie o wszystkim, *ponimajecie?*

– Tak, dobrze, tylko czy pan *komandir* ich tam znajdzie?

– A wy mówili, że oni tam są.

– Tak, oni tam powinni być. Tylko czy nie musieli się przenieść, bo Lwów był bombardowany, to ja nie wiem, czy ten dom stoi.

– On już tam ich znajdzie, on już tam ich znajdzie. – Przycisnął taster dzwonka

²⁴ A ty czego tu chcesz [tzn. odzywasz się], czy ja kazałem ci mówić? Milcz, hultaju, rozumiesz? (ros.).

i przyszedł jakiś oficer, kazał mu zawołać *komandira*. Za chwilę wszedł *komandir*, chłop wysoki, Europejczyk, miłej powierzchowności i pan pułkownik wytłumaczył mu, o co chodzi, że pojedzie do Lwowa. Kazał mu napisać na maszynie rozkaz.

Przez czas pisania rozmawiamy. Ja zapytuję, czy na granicy postąpiono nienależycie, on mówi, że tak im zrobić nie wolno było.

- Pułkownik co jest na granicy powinien był napisać wam pismo, tak jak Niemcy napisali, ale jemu się nie chciało i posłał tego milicjanta.

Potem pytał o majątek nasz, o moje studia, w ogóle wcale przyjemnie się rozmawiało. Wszedł pan *komandir*, wręczył pismo, pan pułkownik przeczytał, wyjął pieczętkę z biurka i przybił, i podpisał. Teraz mi mówi, żebym powiedział szoferowi, że pojedzie do Lwowa i ma przez drogę słuchać, co mu *komandir* powie.

- Jak powiecie mu to, to wróćcie tutaj, bo ja wam jeszcze coś powiem.

Poszedłem na dół, Bolek strasznie przerażony, myślał, jak mi mówił, że już jestem zamknięty, co teraz będzie? Oczywiście samochód zabiorą, a on piechotą wróci do domu, a co on powie, nie będzie śmiał nawet widzieć się z jaśnie panią, bo on wszystkiego narobił tym, że stanął.

- Pociesz się, Bolusiu kochany, jeszcze dzisiaj będziesz we Lwowie, jedziecie z *komandirem* i porucznikiem. Szef całego okręgu prosił mnie, żebym ci powiedział, że na czas jazdy jesteś pod komendą *komandira* NKWD.

- Co jaśnie pan mówi, to jest NKWD. To przecież najgorsze co jest.

- No widzisz, a postąpili bardzo ładnie.

Przychodzi *komandir* i przerywa nam rozmowę, ja mówię do *komandira*, że stosownie do polecenia pana pułkownika powiedziałem szoferowi, że ma wszystkie rozkazy, jakie pan *komandir* wyda jemu, bezwzględnie wypełniać. Uśmiechnął się *komandir*, mówił mi, że są w walizce chleby, tutaj jest tort od ich mamy i kilka butelek kawy. Chciałbym też dać pieniądze dla dzieci.

- A to już niech pan da szoferowi - powiedział to zupełnie dobrze po polsku.

Podajemy sobie ręce, szczęśliwą podróż życzę wam. Boluś wziął te pieniądze i widać było, że trochę otuchy nabrał, a słowa na do widzenia to potwierdziły.

- Czego ja, głupi, się bałem, przecież jak jaśnie pan jest koło człowieka, to może się to co złego stać?

- No, uściskaj wszystkich i powiedz, że w Radymnie się spotykamy na granicy.

Patrzyłem jeszcze przez chwilę jak jadą. Stałem, jakby w jakimś świetle na drzewku Bożego Narodzenia, nie mogę tego określić, dlaczego takie porównanie, ale nie może być inne, osłupiały, odjęte mam zmysły, jestem pochodnią płonąca najpiękniej na Ołtarzu Mojej Ukochanej Najcudowniejszej Matki Boskiej Częstochowskiej, tej mnie tak cudownie objawiającej się przez cały tydzień codziennie o ósmej rano. Teraz rozumiem, dlaczego tyle razy miałem jechać i nie mogłem, bo trzeba mi było wtedy być na granicy, jak ów Żyd będzie z rzeczami. Inaczej jazda moja była nie do pomyślenia, wprost wariacka, myśl wariata nie zdającego sobie sprawy, co można, a co nie. Temu Żydowi zawdzięczam wszystko, całą jazdę, a dalej, co by z nami było, gdybyśmy nie byli stanęli w tym NKWD, pojechalibyśmy i tam gdzieś z całą pewnością byliby nas zamknęli, a że to był czas wywożenia na Sybir miliony ludzi, to tam byśmy się byli spotkali wszyscy. W konsekwencjach nieograniczonych, najgorszych, jak można pomyśleć. Lwów co innego, a w małym

miasteczku, jak Krakowiec²⁵ i władze tutejsze, gdzie jeden człowiek rządzi, a władze we Lwowie? Szkoda analizować, tak z tym Żydem cudowne, jak i to zatrzymanie cudowne, i to postanie teraz tego *komandira* cudowne. Wracam wolno po schodach i właściwie to należałoby najserdeczniej podziękować temu pułkownikowi, bo postąpił tym wysłaniem *komandira* po prostu wspaniale. No, teraz jestem ciekaw dalszej akcji. Wchodzę znów do pana pułkownika, pytam czy można, przez uchylone drzwi, „Tak, tak, chodź pan Bylicki”. Wchodzę, prosi mnie, żebym siadał, chwilę rozmawiamy, a zaraz jak tylko wszedłem, mówię, że stosownie do życzenia poleciłem szoferowi wykonywać wszystkie rozkazy pana *komandira*, bo na czas jazdy on kieruje wszystkim i jemu się podlega.

– Nu, *choroszo, choroszo*. Teraz niech pan idzie ze mną do poczekalni, tam ja potem przyjdę. – Idziemy przez zakamarki starej budy, bo ten dom to jakaś rudera. Wygląd pokoi nawet nie najgorszy, ale pachnie starzyzną. Przystaliśmy do pokoju, gdzie siedzi dwóch żołnierzy z karabinami i nadzianymi bagnietami, i nasz biedny milicjant.

– Proszę więc tutaj poczekać.

– Dobrze, panie pułkowniku.

Kiedy poszedł, ja dziękuję mu za wiele chęci, jak objawił to, mówiąc, że mnie zna, ale w strachu byłem, jak się spyta mnie, skąd ja pana znam, i pana osobno, i powiemy każdy co innego, to co będzie. Bałem się też pytania, jak daleko jest nasz majątek od Radymna, pan powiedział sześćdziesiąt kilometrów, a ja, jak prawda, sto dwadzieścia trzy. Na to pan milicjant odpowiada:

– Panie hrabio, co pan myśli, że to tak jak u was, co są ludzie inteligentni. Tu są chamy, dranie głupie, a ten cały pułkownik, to co jest? To widział pan, on nie wie, że sztuki piękne, jak się to mówi, są. To ja, proszę pana, jakie ja tam mam nauki, a przecież jak ktoś powie, że studiuje sztukę, to ja wiem, co to znaczy. A on co gadał? To ja ledwie nie zacząłem się śmiać na głos.

– Panie kochany, powiedz pan, co będzie z tymi listami, co nam dali w Radymnie do doręczenia?

– Ja pojedę do Lwowa, bo mam rozkaz być w Chodorowie w cukrowni²⁶, więc muszę tam pojechać. Zatrzymam się we Lwowie i listy doręczę. Wie pan, warto je doręczyć, bo oni zapłacą dobrze.

Upłynęło może pół godziny. Przychodzi pan pułkownik i zaprasza mnie, żebym z nim poszedł. Idziemy. Nic nie wiem, po co. Po kilku krokach jesteśmy w dużej sali, długi stół nakryty obrusem, na środku długości stołu stoją wazoniki z kwiatami, wygląda to zupełnie estetycznie. Zwracam się do pana pułkownika i mówię, jakie to robi miłe wrażenie. Na to odpowiada pan pułkownik:

– My kulturalny naród, ja was zaprosił na obiad, bo to już czas. A wy przecież nie jedli tutaj nic.

– Ach, bardzo dziękuję, doprawdy same najmilsze niespodzianki.

Za chwilę wchodzi panowie [ze] sztabu, było ich piętnastu, siadamy wszyscy równo, ale wyczekali i nikt nie siadł pierwszy, tylko pan szef. Mnie pan szef usadził koło siebie, po lewej stronie koło mnie bardzo sympatyczny kapitan, który doskonałym językiem polskim mówi do mnie:

– Narobił nam pan bigosu, nawet pan nie wie, jak się tutaj zakotłowało, ger-

²⁵ Krakowiec, w II RP miasteczko w województwie lwowskim. Obecnie Ukraina.

²⁶ Chodorów, w II RP wieś położona w województwie lwowskim. Obecnie Ukraina.

mański *szpion*, bo takie pismo, jak pan miał, to tylko można wydać bardzo potrzebnemu człowiekowi. No ale na szczęście wszystko się wyjaśniło, a rozmawiał pan ze szoferem?

- Nie - odpowiadam - bo nie było kiedy.

- On by panu powiedział, jakie indagacje on miał we formie niby to cywilnego człowieka, który tak dla siebie z ciekawości pyta się o różne rzeczy. Wywiad ten wypadł dla pana świetnie, on opowiadał po prostu cuda.

Obiad był doskonały. Kotlety wieprzowe, *purée* z kartofli, legumina buchta, ciasto jak na pączkach, potem czarna kawa, a pan pułkownik dolewał mi ciągle. Po obiedzie podziękowaliśmy sobie wszyscy ukłonem z daleka, z kapitanem serdecznie i panu pułkownikowi podziękowałem czule. Odprowadził mnie znowu do tej strzeżonej poczekalni przez tych dwóch żołnierzy. Milicjant pyta się:

- A co, znowu pana pytał, o co?

- Nie - odpowiadam - zaprosił mnie na obiad, było bardzo wszystko w dobrym tonie.

- A, no bo przecież to kulturalny naród, co pan hrabia myśli, ale teraz miał pan sposobność przypatrzeć się, jak prawda wygląda, to jest socjalizm. Widział pan, jak traktowali mnie, gorzej [niż] parszywego psa, a co ja im winien i za co? Mam, proszę pana, rozkaz od pułkownika, komendanta granicy pojechania z panem i do cukrowni, no to oni to nie uznali, jak pan widział, kazali mi zostać, a do Chodorowa pojedą, jak będzie okazja, to są [tacy] ludzie.

- Proszę pana, niech pan idzie na obiad, przecież gdzieś się da coś zjeść, są pieniądze - i dałem mu dwadzieścia złotych.

- Dziękuję bardzo, ale nie wiem, czy mnie puszczą te *sołdaty*. - Wstał i podszedł do nich pytać się, czy może iść na obiad.

- *Niet* [nie] - odpowiedź. - Jak *chociesz* [chcesz] wyjść, to musisz mieć *bumagu* [papier, tu: przepustkę].

- Od kogo?

- Od kaprała.

- No a on gdzie jest?

- Na dole w kancelarii.

- No to ja tam pójde.

- Nie, ja ci mówię, że musisz mieć *bumagę*.

- No dobrze, to ja chcę iść po *bumagę*, a ty mi mówisz *nielzia* [nie wolno].

- No tak, bo *nielzia*. Bez *bumagi* stąd wyjść nie wolno.

To ja mówię im, że ja pójde do pułkownika i poproszę go, ażeby on mógł obiad *kuszat'* [jeść]. Przypominam sobie, że mam papierosy do poczęstunku, bo ja nie palę, i pytam się ich, czy oni palą? - *Nu* - śmieje się jeden i mówi - Tak, a jak mamy co palić. - No to proszę, zapalcie sobie - i daję całe pudełko - a ja przez ten czas przyniosę *bumagę* dla milicjanta.

- *Nu, spasibo, spasibo* [dziękuję], za dużo, takie ładne *zołoto* [złoto], *ty widzisz eto* [tu: zobacz]. *Nu*, to niech pan idzie.

Popatrzcie się, zdobyli się na słowo pan i bez wszystkiego puścili mnie od razu. Widzieli, jak pułkownik ze mną rozmawia, a jak z tym biednym milicjantem. Ledwie wyszedłem, spotykam tego kaprała, który zatrzymał mnie i spytał, gdzie idę, ja mówię, że po *bumagę* dla milicjanta od was. Na obiad chce iść, bo nic nie jadł.

– A co pana to obchodzi, po co się pan tym interesuje? – i ma, mówiąc to, taką minę, jakby to było włamanie z mojej strony do systemu, który przez to ucierpi, bo się wkradną do niego złe z gruntu jakieś nowości.

– *Ja proszu* [proszę] *was, pan, my dla was wsio*, co wam potrzeba, rozkaz od towarzysza pułkownika.

Ale ten milicjant musi wiedzieć, co to znaczy do spraw się wtrącać niepotrzebnie. Ten cały kapral to Żyd widać, bo niektóre wyrazy mówił zupełnie po polsku, dobrze. I cóż było robić – musiałem wrócić, ale przynajmniej tyle zyskałem dla milicjanta, że kapral zabrał go ze sobą na dół, w najgorszy sposób ordynarnie na niego [krzycząc], że jeszcze im głowę zawraca obiadem. Milicjant jest na obiedzie, a ja sam zostałem ze *sołdatami*.

– A wy z których stron? – Stawiam takie pytanie tym żołnierzom. Widzę, że nie rozumieją co do nich mówię, więc powtarzam: – Skąd wy tutaj przyjechali? – Od Kaukazu, od Baku. – No to daleko stąd. To wam się tutaj pewnie nie podoba, bo tutaj płasko, a tam góry.

Otwierają się drzwi, wchodzi kapral, przystępuje do mnie i przyciszonym głosem mówi:

– Z *sołdatami* rozmawiać nie wolno – a ja dodaję: żeby się *sołdat* z czymś niepotrzebnym nie wygadał, albo żeby ja nie powiedział, że u nas jest lepiej.

– *Nu, wsio rowno* [wszystko jedno] – mówi kapral – *goworit' niezlia* [rozmawiać nie wolno].

Przystępuje teraz do nich i mówi, że jeden z nich ma gdzieś jechać, no który. Ten wzbrania się i ruchy ramionami robi takie, że nie chce, ten drugi identycznie to samo, kapral więc mówi: – No, *nie torgowat'sia* [nie targować się]. – Po długich zganianiach jeden na drugiego staje wreszcie jeden z nich i razem z kapralem poszli. Po niedługim czasie przychodzi milicjant, a za chwilę wtacza się *pułkownik* ze swoim sztabem kilku oficerów i komunikują mi, że już wóz zajechał i teraz to jedziemy do Radydna. Więc pan pułkownik żegna się i życzy dobrych wspomnień z pobytu w komendzie NKWD w Krakowcu, i dodaje swoje nazwisko – Aleksandrowicz Kornilow, zapamiętajcie to, pan Bylicki.

– Dziękuję raz jeszcze, za to wszystko dobre, co mnie tutaj spotkało. Ja opowiem Germańcom, jak tu u was kulturalnie, żeby wiedzieli, że to nie tylko u nich, bo w Rosji może jeszcze lepiej. – *Nu, ja was proszu*, opowiedzcie to. – Daję panu pułkownikowi słowo, że tak zrobię. – No, bywajcie zdrów! – podajemy sobie ręce, a ci dwaj kapitanowie jadą ze mną i porucznik ten, co nas zatrzymał, bardzo miłej powierzchowności i wybitnie zgrabny.

– Panie pułkowniku, niech pan jedzie z nami, to będę tym dłużej z panem razem.

– Ach, naprawdę chcecie, no to *ja idu* [idę].

Robi się po prostu między nami przyjaźń, tak że pan pułkownik mówi mi:

– A czy wy musicie odjechać? *Ostan'ties' s nami* [zostańcie z nami].

– Bardzo chętnie – odpowiadam – ale panie pułkowniku, żona, majątek, no i muszę wracać, bo Germańce zabraliby cały majątek za karę, żem uciekł.

– *Da, da*.

I wśród takiej rozmowy zeszliśmy schodami na dół i od bramy ten kawałek do samochodu. – Tym samochodem odjedziecie – mówi pan pułkownik. Otwiera-

ją drzwi, zakratowane drążkami żelaznymi pionowymi, nie ma tych poprzecznych krat, która daje takie kwadraty. Wewnątrz dwie ławki wyściełane wzdłuż bocznych ścian wozu. Wóz nowiutki, pachnie jeszcze lakierem, trzeba było tego *pomieszczyka* reklamowo odwieźć, żeby miał co opowiadać. – No, wsiadajcie – brzmi *ukaz* [rozkaz] pana pułkownika, uścisk ręki jeszcze raz i wchodzę, i siadam na lewej ławce. Zebrani żołnierze koło wozu na gapia mówią do mnie: no *gut, gut* [dobrze], a ja odpowiadam im: *sehr gut, sehr gut* [bardzo dobrze] – wszyscy jeden do drugiego podchwycili to i z radością i uśmiechem powtarzają: *sehr gut, sehr gut* i kiwają głowami. Kupa dzieci, od których nie tak znowu bardzo daleko odskakuje nasz pan pułkownik.

Koło mnie usiadł ów porucznik, ten taki sympatyczny, naprzeciw mnie kapral. Milicjantowi kazali siedzieć w narożniku od tylnej ściany, to znaczy ściany najbliższej szoferki. Ruszyliśmy, jedziemy.

– No, jak my tutaj przyszli – mówi porucznik – to nas to dziwiło, że u was wszystko w polu się robi końmi, a u nas maszynami, u nas jest czterysta tysięcy traktorów.

– No, bardzo ładnie, ale widzi pan, pomimo że u nas się robi końmi, to nie było głodu, a u was razem z traktorami to był straszny głód, zwłaszcza na Ukrainie²⁷.

Kapral na to trochę się uśmiechnął i spuścił głowę, a pan porucznik zacukał się, ale pozbierał się w kupę i mówi:

– To nie był *gołód*, żeby brakowało jedzenia, to był *gołód z ukazu* [tu: głód na rozkaz władzy].

– Dobry interes – mówię na to i śmieję się.

On się też uśmiechnął i natychmiast przestawił temat rozmowy *na technikę*, fabryki, maszyny i urządzenia, a w końcu zapytuje, czy ja znam Berlin? Doskonale, bo ja stale mieszkałem w Berlinie.

– *A to choraszo*, bo dowiem się, czy to prawda, że w Berlinie chodzą pociągi po mieście nad kamienicami, nad domami.

– Tak, to prawda, jeździłem takim pociągiem wiele razy, to się nazywa *Hochbahn*²⁸ i *Ungergrundbahn*²⁹.

– *Posłuszajtie, pan, napiszytie mnie eto, proszu* [napiszcie mi to, proszę] – daje mi notes i ołówek, ja mam pióro i piszę mu. Teraz zaczyna się prawda urzędzeń i postępu. Jak napisałem mu i on widzi atrament, a kałamarza nie widzi, żebym pióro maczał, tak zaintrygowany pyta się mnie:

– A skąd wy wzięli atrament?

– Atrament jest w środku, nalewa się, a jak wyjdzie, to znowu się nalewa. O, widzi pan, tutaj się kręci – i pokazuje.

Bardzo tym był zdziwiony, a ja z obojętnością mu mówię, że u nas to każdy człowiek ma takie pióro.

– Jeżeli pan, panie poruczniku, chce, to proszę, będziecie mieli na pamiętkę.

– Ach, pan, nie, to szkoda wam.

– Ja mam w domu jeszcze – odpowiadam – tak że nie poniosę żadnej szkody.

– No to dziękuję, *spasibo, pan hrabia*.

²⁷ Głód na Ukrainie w latach 1932–1933 pochłonął co najmniej 3,5 mln osób.

²⁸ Kolej naziemna (*niem.*).

²⁹ Kolej podziemna, metro (*niem.*).

Psiakrew, a może krokodyla krew, jak to łatwo się zmienia wszystko, już panowie wrócili i hrabiowie, jak oni byliby szczęśliwi, gdyby się tak to stało w ogóle. W bardzo miłej rozmowie jeszcze o szkołach samochód robi zakręt i staje.

– Gdzie jesteście?

– W Radymnie na komendzie granicznej. – Porucznik mówi mi: – Zostańcie tutaj, ja albo kto inny tutaj przyjdzie – i rzeczywiście, przychodzi pan Goldfarb. Awizuje mi, że dostanę u niego kwatery. Mogę teraz wysiąść, on nade mną obejmuje nadzór. Porucznik wrócił pożegnać się i powiedział, że jutro się zobaczymy.

– *Do swidanija* [do widzenia].

Teraz pan Goldfarb prowadzi mnie do owej kwatery. Już było wszystko przygotowane, jak widać, bo gdy przyszedliśmy do wsi Rafałówka, to zaraz koło biura komisarza Goldfarba był dom chłopca, ładny, czysty, i tam miałem przenocować. Weszliśmy razem do izby, gdzie siedzieli gospodarz, żona i syn. Wchodząc, pozdrowiłem ich naszym staropolskim:

– Niech będzie pochwalony!

Na to [on] z oniemiałą ze zdziwienia i wzruszenia twarzą:

– Na wieki wieków – ale głosem jak przez sen, bo takich słów przywitania to ani się nie słyszy, ani się nie spodziewa słyszeć.

– No, tutaj panu hrabiemu będzie dobrze.

– Sądzę, że tak – odpowiadam panu Żółtej Farbie³⁰.

– Panie hrabio, może by nam pan dopomógł w jednej sprawie?

– Proszę, w każdej chwili.

– To poproszę pana do mnie, na komisariat, teraz o godzinie szóstej. Będzie *sowiet* [rada; tu: zebranie rady] w sprawie rozdziału majątku i zboża pomiędzy tujejszych chłopów.

Cudownie, pomyślałem, to przecież dla mnie kawał, brać udział w *sowiecie* rosyjskim pod przewodnictwem komisarza. Zobaczę, jak się to odbywa, w każdym razie interesujące. Polskim zwyczajem, i rosyjskim widać, posiedzenie zapowiedziane na godzinę szóstą zaczęło się o godzinie wpół do ósmej wieczór. Przyszedł też i ksiądz proboszcz tej parafii. Przy oświetleniu naftowym odbywało się zebranie *sowietów* [radnych]. Zagaił pan *komissar*:

– Wybrani do *sowietu* mają uprawnienia do wyrażania swojego zdania i czynienia wniosków. Ja postawię zebranych kilka pytań, na które mam otrzymać odpowiedź. Jak wiadomo, majątek ziemski należący do – i tutaj wymienił nazwisko właściciela – zostanie podzielony pomiędzy miejscowych chłopów i rzeczy także, jeżeli się nie zgłosi właściciel ruchomości do trzech miesięcy. Każdy musi podać, jak wielkie ma swoje gospodarstwo i wiele chce otrzymać. Ksiądz gospodarstwo tutejszego rozdzielane nie będzie, ponieważ ma przepisową wielkość.

Nic ciekawego dalej nie było, wlokło się to do dziesiątej wieczór. Nie doczekawszy końca, poszedłem do mojej kwatery, oddalonej od komisarza o dziesięć, może bliżej kroków. Na kolację dostałem jajka na miękko, aż sześć sztuk, doskonały chleb i mleko słodkie.

Opowiadał mi gospodarz, pytając się, jak to jeszcze długo tak będzie? Wczoraj syn jego, o ten, co siedzi – wskazał mi na niego – stanął w oknie i patrzył, tak jak się to robi.

³⁰ Aluzja do nazwiska – Goldfarb można tłumaczyć jako „złoty kolor” lub „złota farba”.

Przechodził kapitan i wszedł tutaj do nas, do izby i pyta się: – Dlaczego on stoi w oknie? – No to on mówi: – No, tak sobie stanąłem. – No a po co? – Jak to, po co? Po nic. – No to jak po nic, to po co stoisz, jak masz nic nie widzieć? – Dlaczego? Ja widział różne rzeczy: drzewa i trawę. – A po co? Po nic? – A co to, oknem u siebie w domu patrzeć nie wolno? To ogłoszcie, że nie wolno, to nie będę patrzył, ale jak nie ogłoszone, to będę patrzył, kiedy będę chciał. – Ty posłuchaj, jak ja ciebie jeszcze raz w oknie zobacze, to pójdziesz w *tiurmu* [do więzienia].

– Widzieliście ludzie, panie hrabio, powiedz pan. Panie, żeby się Pan Bóg zlitował, żeby ta zaraza stąd poszła. – Ano, wielu życzyło sobie tej zarazy, to ją ma.

Przyszedł jeszcze pan Goldfarb i umówiliśmy się na jutro rano pojechać do mostu względnie na komendę, a na teraz dobranoc. Rano następnego dnia, to znaczy w niedzielę, przyszedł Goldfarb i zaprosił do jazdy do komendy. Dowiemy się, jak sprawa stoi, czy jadą i gdzie są. Bardzo dobrze, wsiedliśmy w bryczkę jednokonną, widać dworską, dwa dyszelki, ładnie z przodu odgięte na zewnątrz. Jedziemy wzdłuż Sanu, który tutaj jest oddalony około sto metrów, potem bliżej Radydna odchyła się w przeciwną stronę. Dojechaliśmy do komendy, *komissar* poszedł do środka, a ja czekam. Przyszedł i mówi, że rozmawiali z posterunkami przydrożnymi i żaden nie widział, że jaki samochód z budą postawioną jechał. Wobec tego wracamy, a około południa przyjeździemy znowu tutaj. Podczas jazdy mówi mi pan komisarz, że jeżeliby dzisiaj przypadkiem ich nie było, to on mnie przepuści dla mojego bezpieczeństwa. Podziękowałem mu za troskliwość.

– Ale widzi pan komisarz, moim celem jest przywieźć dzieci, a nie uciekać stąd. Ja dzieci nasze muszę odnaleźć tutaj i dotąd się stąd nie ruszę.

Przyjechaliśmy do komisariatu, który się mieścił w jednym pokoju probostwa. Poszedłem do księdza³¹, porozmawialiśmy trochę o sytuacji. Ksiądz pytał się, jak jest u Niemców. Ani się nie spodziewałem, jak już zeszło i jest za dziesięć minut dwunasta. Komisarz gotów do jazdy, więc jedziemy. Gdy przyjechaliśmy, widzę, na drodze stoi ów porucznik, z którym jechałem razem do Radydna z Krakowca. Witam się z nim, a on mówi mi:

– *Nu, wot waszy dieti* [oto wasze dzieci].

I pokazuje mi na parkan komendy, o jakie sto metrów ode mnie bliżej mostu. Oglądam się i widzę, jak przez płot kiwają rękami do mnie Kasia, Węwa³² i Magdzia. Boże mój kochany, więc są. Idziemy razem z porucznikiem, otwierają bramę, wchodzimy i porucznik pokazuje:

– *Nu, wot waszy dieti, szofior i wasza maszyna. My gordyj narod, wot wsio w poriadkie*³³.

Dziękuję mu i pocałowałem go, no bo wychodził człowiek ze siebie przejęty, napęczniały radością. Kapral tylko zwraca uwagę, że to nieładnie, bo Andrzej nie ogolony.

Opowiadają mi dzieci, jak przyjechanie *komandira* do Lwowa się odbyło i przewiezienie ich aż tutaj. We Lwowie przygaszeni ludzie siedzą, bo odbywają się masowe

³¹ W latach 1939–1945 proboszczem w Radydniem był ks. Konstanty Chuchla. Zapewne jego ma na myśli Bylicki.

³² W ten sposób zwracano się w rodzinie do Andrzeja Bylickiego.

³³ No, oto pańskie dzieci, szofer i wasz samochód. Jesteśmy dumnym narodem, to i wszystko w porządku (*ros.*).

wywożenia ludzi w Sybir, więc każdy dzwonek witany jest z przerażeniem. Wczoraj, to jest w sobotę o trzeciej popołudniu, już było po obiedzie i wszyscy byli w kuchni zajęci myciem naczyń. Słysząc silne, dłuższe dzwonienie. Takiego jeszcze nie było. Idzie Andrzej otworzyć do przedpokoju, otwiera drzwi, wchodzi *komandir* i porucznik i z kartki czyta *komandir* imiona i nazwiska i pyta:

– Gdzie jest Wojciech Bylicki?

– Odjechał – brzmi odpowiedź.

– Katarzyna Bylicka jest? – Andrzej Bylicki jest? – i Magdalena Bylicka jest?

– *Nu, gdzie oni?* [gdzie oni są].

– Proszę. – I prowadzi ich do jadalnego pokoju, i widzi nagle, że za nimi idzie z tobołami Bolek, Władysława syn, co to znaczy? Kiedy weszli do jadalnego pokoju, tak *komandir* mówi, ażeby wszyscy co tu są przyszedli. Idzie Andrzej do kuchni i mówi, żeby zaraz przyszedli wszyscy, ale ciekawa rzecz jest, bo jest Bolek, Władysława syn z Żyznowa.

– Coooo? – zdziwienie szalone, wchodzi, i Jadzia Heinrich także, z przerażeniem, bo czytał *komandir* nazwiska i imiona, do wywiezienia oczywiście, strach, co to będzie. Kiedy wszyscy stoją, *komandir* czyta:

– Katarzyna Bylicka?

– To ja.

– A to *choroszo*, Andrej?

– Tak.

– *Choroszo*, i Magdalena Bylicka?

– To ja – odpowiada Magdzia.

– A to *choroszo*. – Patrząc ze zdziwieniem na Bolka, tymczasem zostaje wszystko, cała sytuacja wyjaśniona.

– Wy pojedziecie do waszej mamy, a tu macie tort od waszej mamy, a tu chleby, dajcie szoferowi *czaju* [herbaty]. My przyjechali tutaj waszą maszyną Packardem...

– Nie, my mamy Austro-Deimlera. Nie, to jest Packard. Mniejsza o to, a teraz ja *proszu* was, zbierajcie się, tylko *switko*, *switko* [szybko] i zaraz odjedziemy do Krakowca, tam jest wasz *bat'ko* [ojciec].

– Niesłychane, niesłychane.

– A *wy kto?* – zwraca się *komandir* do Bibci.

– Ja *titka* [ciotka]. No, *titka*, pojedziesz z nami.

Wszystko ocknęło się do szalonego ruchu. Pakują się na gwałt i mówią, że są gotowi. Żegnają się z Bibcią, z Jadzią Heinrich i schodzą na dół. Bolek poinformował trochę, ale nie wolno mu było wiele mówić. Węwa wziął ster i prowadzi wóz. Przez Lwów jadą dobrze, bezpiecznie, a co by to było, gdyby nie to, że jadą w towarzystwie NKWD. Przyjechali na granicę Lwowa miasta, badanie dokumentów, jakie rzeczy, ale *komandir* protestuje przeciwko jakiegokolwiek zatrzymywania, bo mówi, że nie ma czasu. Dał znak Andrzejowi, żeby ruszył i pojechali dalej. Doprawdy, nie do pomyslenia przejechanie tej granicy miasta, jakie ceremonie, żeby nie ta asysta. Gdy znaleźli się za miastem, *komandir* mówi, że teraz kilka rzeczy zaśpiewa. Głos bardzo ładny, tenor niższy, pokazuje się, że jest tenorem opery w Moskwie. W pewnym momencie mówi do Kasi:

– *Zakutajsia*, *czto*by nie zamierzli [otul się, żeby nie zmarznąć].

– A po co, kiedy mi nie zimno.

– Jak się nie zakutasz, to wysadzę cię z auta na kupę kamieni przy drodze i ty tam zostaniesz, a my odjedziemy.

Tak wśród śpiewu, można powiedzieć, śpiewająco dojechali do Krakowca, teraz prowadzi ich przed pana pułkownika. Pan pułkownik przywitał ich:

– *To wy studenty?*

Tak, i w tym momencie *komandir* zdaje raport ze wszystkiej podróży i o każdym z nich mówi, czym się zajmuje – i to się zgadza z moimi zapodaniami, tak że w najlepszym porządku było wszystkich co trzeba. Teraz zaprowadzono ich do pokoju i zawiadomiono, że jutro rano odjadą do granicy i będą dzisiaj tutaj na komendzie nocować. Wieczorem przyszedł *komandir* i wszyscy oficerowie, było ich piętnastu. *Komandir* rozpalił w piecu i spodobał się im taki buldog piesek – przycisk na papiery, odlany z żelaza, bardzo ładnie wykonany. Pokazywali sobie tego pieska i jeden z nich mówi: ładna sobaka [pies], a Magdzia mówi: nie żadna *sobaka*, tylko piesek. Wszyscy teraz powtarzają piesek i śmieją się. W ogóle w bardzo sympatycznym nastroju pobyli u nich około godziny i w końcu dobranoc wzajemnie sobie powiedzieli i rozeszli się. Przyszedł jeszcze *komandir* potem poprawić w piecu. Rano poczęstowali ich śniadaniem i sprowadzili do stojącego przed komendą samochodu. Kiedy już następuje pożegnanie, Magdzia prosi *komandira*, żeby zaśpiewał tę pieśń, którą śpiewał, jak dojeżdżali do Krakowca, bo jak przyjedzie do domu, to tę pieśń wygra sobie na fortepianie. Koło samochodu stoją wszyscy ci oficerowie, którzy byli wczoraj u nich w pokoju z *komandirem* na czele. *Komandir*, niewiele namyślając się, śpiewa, a przy tym wykonuje ruchy jak na scenie – poznać od razu śpiewaka operowego.

Na rynku w Krakowcu ruch ustał. Wszyscy zaciekawieni, co się dzieje, grupa oficerów, samochód z kilku osobami, na dostawianych ławeczkach w samochodzie zaraz za szoferem siedzą żołnierze z karabinami i nadzianymi bagnetami na nich, a na tylnym siedzeniu tylko dwie panienki Kasia i Magdzia, a Andrzej przy sterze. Ten śpiewający kapitan *komandir* stoi blisko samochodu i rękami wykonuje ruchy, jakby śpiewał do tych panien. Przechodnie stanęli, jeden drugiego pyta, a co to takiego, czy to imieniny czyje, tak uroczyście obchodzone. Pieśni skończyły się i ta śpiewana, i ta cicha z tej siedziby, która rumieniec zdrowia daje twarzy i porywów moc wszelką. *Komandir* widać człowiek szlachetny, bo jest ich cechą, że łatwo i prędko przystaną do każdego, co do nich zagada wspólną mową, nie łamiąc się wyrażeniami, a tym przedziwnym prądem, który wiąże:

– Zostańcie, zostańcie z nami, tu gdzie Krasnaja [Czerwona] Armia, tu najlepiej.

No, o tym można by wiele mówić. Motor zaszumił jesienią tego spotkania, jak wiatr co zrywa poźółtkłe liście i teraz już tylko w pamięci kołatać będzie, pan *komandir* z oficerami, a *u niego te Polaki*, co z nimi tych kilka chwil dało tak wiele radości i jakiejś spójni. Grupka tych oficerów z *komandirem* stoi nieruchomo wpatrzona, aż wóz znikł na zakręcie, a dla dzieci naszych oni. Jest co pamiętać, jest pamięć nie zmęczona odległością czasu, co popędził i uniósł ze sobą wszystko, co wtedy żyło, dzisiaj, po latach dokładnie dwudziestu, wzniciła tą iskrę w pochodnię z tym samym gorącym i łuną.

Gdy to wszystko opowiedzieli mi Kasia, Magdzia, Andrzej, to tak jak wściekałem się na tą całą niepotrzebną wędrówkę i niebezpieczną, tak dzisiaj mam co wspominać i dać do tych cudownych wydarzeń, wzbogacających życie, przenosząc go w kraj tajemnych, cudownych możliwości, jasnych, pogodnych, o stojącym słońcu zawsze

na południu tylko. Patrzeliśmy na siebie, aktorzy fantastycznej sztuki, przejęci tym wszystkim, co się nie do uwierzenia odbywało i szczęśliwi ze spotkania, co tą palącą rozłąką wreszcie skończyło. Porucznik, ten co jechał ze mną, przyszedł i mówi:

– Siadajcie do samochodu, bo odjedziecie teraz, most zaraz będzie otwarty.

Otwierają bramę podwórza komendy granicznej. Ruszamy, wolniutko podjeżdżamy ku mostowi, na stopniu samochodu stoi porucznik i daje znaki żołnierzom pilnującym mostu. Wjeżdżamy na most, przejeżdżamy aż do tej harmonijki, którą tutaj wczoraj zesuwno z kolczastego drutu rano o szóstej. Stoją tutaj, pan komisarz Goldfarb i *komandir* mostu. Wychodzę ze samochodu, podaję rękę, nie pustą, panu komisarzowi, dziękując za pomoc i tak wiele dobrej woli, panu kapitanowi od mostu *komandirowi*. W tym momencie harmonijka zjechała i ukazali się wojskowi Niemcy. Podbiega ów porucznik:

– *Haben Sie Ihre Kinder bekommen? Ah, wunderbar*³⁴.

Przedstawiam go dzieciom, krótka rozmowa.

– A czy ma pan dostatecznie wiele benzyny?

I zaraz, równo z tym pytaniem, kazał nalać pełny bak. Po odbyciu podróży do Lwowa i z powrotem mamy w samochodzie tyle benzyny, co na początku w Krośnie, jak Władysław³⁵ brał benzynę. Jesteśmy gotowi do drogi, więc *danke sehr* [dziękuję bardzo] i do widzenia. Jedziemy do Przemyśla, teraz już poszarzało. Jak przyjechaliśmy przed generalny sztab, wysiadłem z samochodu i poszedłem do komendy. Miałem przeprawę na bramie, wreszcie żołnierz skapitulował, gdy powiedziałem mu, że pułkownik von Heidendorff czeka na mnie. Wszedłem do tego hallu, gdzie ten srogi *Wachmeister* [wartownik] był i teraz włożył na mnie, ale pełen zapytań, jak tam było u tych Moskali.

– I nie bał się pan? – podziwiał.

Wszedłem do sali tej, co wtedy. Jak mnie zobaczyli:

– No, co jest? – powiedziałem, że wszystko dobrze, muszę zobaczyć się z pułkownikiem, dotrzymać słowa.

– Aaa, tak, tak – i poszedł kapitan po pułkownika.

Pułkownik zaraz wyszedł i zaprosił mnie do generała, weszli też, żebym osobno im nie potrzebował opowiadać, wszyscy z tej sali. Co chwilę było słychać *wunderbar* [wspaniale, cudownie] i inne formy zachwytu. Opowiedziałem dokładnie całą eskapadę. Pożegnaliśmy się serdecznie i obydwaj, pułkownik i generał, postanowili mnie odwiedzić w Żyznowie. To trwało trochę czasu. Trudno, musiałem im za tyle dobrego przynajmniej choć opowiedzieć, com po drodze doświadczał. Teraz jazda już do Żyznowa pełną parą. O godzinie punktualnie siódmej wieczorem weszliśmy wszyscy do kuchni naszego domu, gdzie była Różyczka i cała służba.

– Oooo Boże! Czy mi się to nie zdaje? – woła Różyczka. – Pewnie jesteście głodni, prędko na górę, do łazienki, tymczasem się tylko umyć, a potem możecie się wykąpać.

Idziemy więc wszyscy schodami kredensowymi na górę, każde z dzieci do swego pokoju, przywitanie ze wszystkim, ze stolikiem, stołkiem, drzwiami. Boże mój kochany, cudowny, jakżeż to cudownie, że to już skończone. Schodzimy się w jadalnym pokoju, pełen teraz opowiadania, zapytań i wszelakiego gadania.

³⁴ Czy odzyskał pan dzieci? Ach, to wspaniale (*niem*).

³⁵ Zob. przypis 3.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Maxymiliana Bylickiego, Warszawa. Wspomnienia Stanisława Bylickiego z okresu przed II wojną światową, mps. Stanisław Szyszko, Wspomnienia (1950), mps.

Archiwum Państwowe w Przemyślu. Towarzystwo Zaliczkowe i Kredytowe w Strzyżowie 1927–1942, sygn. 1180.

Parafia Rzymskokatolicka w Żyznowie. Protokoły rady gminy Żyznowa za lata 1908–1939.

Rodzinne fotografie.

Źródła drukowane

Księga adresowa Polski (wraz z W[olnym] M[iastem] Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa, Warszawa 1929.

Schematismus universi venerabilis cleri saecularis et regularis dioecensis rit. lat. Premisliensis pro anno domini 1917, Premisiae 1917.

Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej opracowany na podstawie wyników pierwszego spisu powszechnego z dn. 30 września 1921 r. i innych źródeł urzędowych. T. 13: Województwo lwowskie, Warszawa 1924.

Vincenz S., *Dialogi z Sowietami*, Kraków 1991.

Wspomnienia Stanisława Ludwika Bylickiego właściciela majątku w Żyznowie z okresu II wojny światowej. Wojna z Niemcami, cz. I, oprac. W. Wierzbieniec, S. Wnęk. „Prace Historyczno-Archiwalne” 2024, t. XXXVI.

Opracowania

Bieda T., *Pierwsze lata niepodległości w regionie strzyżowskim 1944–1947*, [w:] *Studiana o dziejach Strzyżowa i okolic*. Zbiór artykułów pod redakcją S. Cynarskiego, Rzeszów 1980.

Jasiewicz K., *Lista strat polskiego ziemiaństwa 1939–1945*, Warszawa 1995.

Kargol T., *Od kółek ziemiańskich do Związku Ziemiaków w Krakowie. Ruch organizacyjny ziemiaństwa w zachodniej Galicji i Małopolsce 1906–1939*, Kraków 2010.

Libicki P., *Dwory i pałace wiejskie w Małopolsce i na Podkarpaciu (w granicach województw małopolskiego i podkarpackiego)*, Poznań 2012.

Piątek S., *Żyznów, Bonarówka – na szlaku architektury drewnianej*, Żyznów 2008.

Piórecki J., *Zabytkowe ogrody i parki województwa rzeszowskiego*, Bolestraszyce 1996.

Polakowski S., *Pozostałości założenia dworskich w województwie podkarpackim*, Krosno 2013.

Rudnicki S., *Ziemiaństwo polskie w XX w.*, Warszawa 1996.

Rychlikowa I., *Ziemiaństwo polskie 1795–1945. Obraz struktury społecznej*. „Dzieje Najnowsze” 1986, nr 2.

Sokulski J., *Bylicki Franciszek (1844–1922)*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 3, Kraków 1935.

Szopa P., *Armia Krajowa w Strzyżowskim*, Rzeszów–Strzyżów 2009.

Wierzbieniec W., Wnęk S., *Z dziejów środowiska ziemiańskiego powiatu strzyżowskiego do połowy XX wieku. Przyczynek do dalszych badań*. „Prace Historyczno-Archiwalne” 2023, t. XXXV.

Wiktor A., *Parcelacja wielkiej własności na Rzeszowszczyźnie. Zarys problematyki badawczej*. „Prace Historyczno-Archiwalne” 2007, t. XIX.

Wkład Franciszka Bylickiego (1845–1922) i jego potomków w rozwój polskiej kultury i nauki, Strzyżów 2022.

Wnęk S., *W poszukiwaniu śladów kultury ziemiańskiej na Podkarpaciu*, [w:] *Małe miasta. Tożsamość*, red. M. Zemło, Lublin–Supraśl 2015.

Woroniecka-Kulesza I., *Ład przestrzeni dworu*, [w:] *Małe miasta. Dom polski w refleksji badawczej*, red. M. Zemło, Białystok–Dynów–Supraśl 2021.

Ziembicki W., *Bylicki Władysław (1846-1931)*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 3, Kraków 1937.

Abstract**Memoir of Stanisław Ludwik Bylicki Estate Owner in
Zyżnow from the World War II Period
*War with Germans part 2***

In this article we present the second part of Stanisław Ludwik Bylicki's (1883–1961) memoirs. He was an engineer born in Cracow and the owner of an estate in Zyżnow, near Strzyżow nad Wisłokiem in the 1917–1944 period. In his memoir, the author recounts events from October 10 to October 12, 1939, on the German-Soviet border. It was a border on the San River in Przemyśl created after September 17, 1939. Bylicki also describes how he was able to bring four grown-up children from the Soviet-occupied Lviv area to the German-occupied Zyżnow. This memoir can be seen as not only an interesting historical document of the first months of the war, but also for its literary value.

Keywords:

memoir, World War II, gentry, German occupation, Soviet occupation, Zyżnow, Przemyśl, Lviv, Stanisław Ludwik Bylicki.